

Władysław Konopczyński

FRYDERYK WIELKI A POLSKA

universitas



FRYDERYK WIELKI
A POLSKA

Władysław Konopczyński

FRYDERYK WIELKI
A POLSKA

Postawieniem opatrzył
Emanuel Rostworowski

Kraków

© Copyright by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS, Kraków 2010

(na podstawie wydania: Władysław Konopczyński, *Fryderyk Wielki a Polska*,
Instytut Zachodni, Poznań 1981)

ISBN 97883-242-1449-5

TAiWPN UNIVERSITAS

Redaktor Wydawnictwa
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

WSTĘP

Pierwszorzędny temat leżący odłogiem. Prawo i obowiązek polskiej historiografii. Od słodkich słów do strasznych czynów. Małomówność pruskich Tacytów. Czas już o tym mówić głośno.

Pięćdziesiąt lat minęło, jak Szymon Askenazy incydentalnie wskazał historiografii polskiej pierwszorzędny przedmiot do zbadania, do owej chwili jakby z lękiem i odrazą omijany.

„Fryderyk Wielki, wielki Prusak, wielki szermierz: większy negocjator, wśród półwiekowych blisko zapasów i zabiegów dla wywyższenia swoich Prus na przemiany korzystał z uczestnictwa i doświadczył oporu świata całego, cały świat kolejno miał za sobą i przeciw sobie. Bądź w widokach wspólnych korzyści, bądź też dla obrony albo odwetu łączyła się raz z nim, to znowu przeciw niemu cała niemal rodzina europejska: wielkie mocarstwa, aby się nie dać wyprzedzić ani nadszarpnąć, państwa drobne i bezbronne, aby się nie dać pochłonąć, przede wszystkim zaś państwa ościennie. Z jednym atoli wyjątkiem. Państwo ościennie, które najszerszą a najkruchszą ścianą przytykało do pruskich koszar, państwo obszerne, które więcej od innych miało do stracenia, a tak osłabione, że miało do stracenia wszystko – jednym słowem Rzplita Polska – nigdy, bądź razem z Fryderykiem, bądź przeciw niemu w żadnej nie uczestniczyło wyprawie, do żadnego nie przystąpiło sojuszu. Równej stałości nie doświadczył on więcej od nikogo. Z jednej strony, głównego śmiertelnego przeciwnika, Austrię, nasamprzód upokorzoną w walce, udało mu się pod koniec w drodze układów ostatecznie rozbroić, zdegradować przez spółnictwo. Z drugiej, wcześniejsi albo

późniejsi jego przyjaciele i alianci: Francja, Bawaria, Saksonia, Holandia, Szwecja, Anglia i Rosja, wszyscy kiedykolwiek należeli do zdeklarowanych wrogów króla pruskiego.

Inaczej Rzplita Polska. Ta nigdy nie myślała ani mierzyć się, ani dzielić z Fryderykiem. Ani u niego, ani na nim nie szukała zysków. Stale względem niego trzymała się na stopie traktatowej neutralności i głębokiego pokoju. Toteż nawzajem wdzięczny król pruski przez całe życie miał dla niej li tylko traktatowe błogosławieństwa dobrego sąsiedztwa. Wstępując na tron zastał Prusy związane względem Polski przez traktat welawski, bydogską konwencję, gwarancje oliwskie. Nie rozdarł tych umów mieczem, owszem, przydał do nich nową, traktat warszawski, gdzie tamte są powołane, tak jak się w nowej prawnej polubownej transakcji powołuje dawniejsze: i jak zastał, tak zostawił Rzplitą w pokoju... Przez czterdzieści sześć lat panowania ani razu przeciw Polsce nie dobywa oręża. Ten człowiek, który od pierwszej chwili napęłnił hukiem armat i jękiem konających połowę Europy, który prowadził cztery wojny, odbył dziesięć kampanij, wydał dwadzieścia batalij, nieprzyjacielskie wojska widział w Berlinie; swoje wprowadził do Wrocławia, Pragi, Drezna; który zaczął rzemiosło jako dwudziestoletni młodzieniec i jeszcze bliski siedemdziesiątki obozował na forpocztach, ten wielki żołnierz dla Rzplitej miał tylko pokój. Jednak ten szczęśliwy żołnierz, który ugiął Austrię, zgniótł Saksonię, zgromił Rzeszę Niemiecką, Francuzom sprawił Rossbach, Rosjanom zgotował Zorndorf – Rzplitą, nie obnażając szpady, ciągle po przyjacielsku, ciągle pokojowo, w drodze spokojnej negocjacji, straszliwiej ugodził niż tamtych na polach bitew, do serca jej trafił, dobił”. Historia polska „ma z nim jeden prosty rachunek, tak prosty, że jej sądu nic zmącić nie jest w stanie. Ma do osoby jego najpierwsze, najlepsze prawo. Należy on do niej, stanowi jej własność, spod jej kompetencji wyłamać się nie może”.

Do tych klasycznie prostych a niezrównanie mocnych słów zmarłego mistrza historii dyplomatycznej niech nam wolno będzie dodać *sub specie* r. 1946 kilka własnych uwag ogólnych.

Dzieje pełne są walk między narodami i państwami, walk mniej lub więcej racjonalnych, nieuniknionych, barbarzyńskich lub szlachetnych, których źródłem bywała jednostronna lub dwustronna dążność napastnicza. Przysłowia ludowe świadczą, że o cudzoziemcach więcej jest do powiedzenia złego niż dobrego; szczere sympatie i czyny altruistyczne stanowią między narodami wyjątki, re-

gułą jest egoizm, niechęć, zazdrośna odporność. W każdym wieku trafiał się jakiś marzyciel – Mikołaj z Kuzy, Sully, Leszczyński czy Saint-Pierre, Kant czy Wilson, co szedł między ludy z gałązką oliwną głosić pokój światowy, niekiedy szedł jak Wolter z różgą, aby nią siec (w *Kandydzie*) zagryzających się nawzajem „Awarów” i „Bułgarów” – a wojny, jak wybuchy wulkanów, powtarzały się z nieubłaganą periodycznością.

Tak, ale co innego wojna, a co innego narodożerstwo. Nie każda wojna dąży do zagłady strony pokonanej; można niszczyć obce plemię także bez wojny. Otóż historia nie zna przykładu, aby jeden człowiek włożył tyle nienawiści w swój stosunek do sąsiedniego narodu, ile jej przez pół wieku wydzielił z siebie Fryderyk zwany Wielkim. Potężne nienawiści wzbierały nieraz w duszach krzywdzonych wobec zdobywców i ciemieżycieli: tak patrzył na Rzymian Hannibal czy Mitrydates, ale jeszcze głębsze, coraz głębsze uczucia nieprzyjaźni rodziły się zwłaszcza w duszach germańskich wobec krzywdzonych. Fryderyk jako niszczyciel Polski, która mu nic nigdy złego nie zrobiła, stanowi zjawisko jedyne w dziejach – i w tym znaczeniu uniwersalne. A że duch jego promieniował na swoich i obcych przez szereg pokoleń, poprzez dziesiątą granicę, że jego zasady stały się wcieleniem tego, co wiek XIX potępił, a wiek XX próbował na nowo uświęcić, więc poruszony w tej książce temat stanowi coś więcej niż bilans krzywd, doznanych w pewnej epoce przez pewien naród: jest to przyczynek do dziejów ludzkości – i nieludzkości.

W zasięgu rozkazów filozofa z Sans-Souci chował się w Królewcu inny filozof, Immanuel Kant, który sformułował jeden ze swych naczelných imperatywów następująco: „Działaj w ten sposób, aby człowieczeństwo w jakiegokolwiek postaci stanowiło dla ciebie zawsze cel a nie środek”. Dla Fryderyka człowieczeństwo jako cel nie istniało – istniała potęga Prus, tj. domu brandenburskiego, jej służyć miały świadomie i bezwiednie inne państwa i narody. Naród polski miał mu służyć jak stado baranów, aby po spełnieniu tej misji stać się nawozem pod inną, wartościowszą rasę. Lecz że ten naród był na razie dwakroć liczniejszy, reprezentował znaczną siłę materialną i utajone niepoślednie wartości duchowe, więc do zniweczenia go użył Hohenzollern całego arsenału środków. Wmawiał on publiczności, że polityka zasadza się nie na układaniu i przeprowadzaniu rozległych planów, lecz na chwytaniu przypadkowych koniunk-

tur: recepta dobra na użytek propagandowy, dla mydlenia ludziom oczu, aby partnerzy nie patrzeli graczowi na ręce! Ale w stosunku do Polski Fryderyk nie praktykował bynajmniej tej zasady. Tam wszystko było celowe, planowe, obliczone. A pierwszym przepisem tej przewidującej polityki było nie zdemaskować się przedwcześnie, udawać przyjaciela do ostatniej chwili, kiedy przyjdzie czas na użądlenie ofiary. Trzydzieści lat przygotowania, dwadzieścia lat dokonania. Trzydzieści lat słodkich słów, dwadzieścia lat strasznych czynów – oto ogólny rozkład naszego tematu.

Rzecz wszakże uderzająca – nikt dotychczas przedmiotu tego nie opracował. Nie ma o Fryderyku i Polsce ani książki, ani nawet krótkiej rozprawy. Nie usłuchali wezwania Askenazego historycy polscy, nie spróbowali ich wyprzedzić cudzoziemscy. Badacze niemieccy napisali o Fryderyku dużą bibliotekę, ale o jego traktowaniu spraw polskich jest w tym ogromie nieproporcjonalnie mało. *Standard work* tej literatury *Geschichte Friedrichs des Grossen* Reinholda Kosera prześlizguje się lekko nad faktami, o których mowa będzie poniżej (choć autor, jako naczelny dyrektor pruskich archiwów, miał do tych wszystkich tajników łatwy dostęp), jakby w historii obowiązywała reguła: *de mortuis nihil* albo *quieta non movere*.

Czytelnikom anglosaskim Fryderyk jest znany we własnym, oryginalnym ujęciu. Lord Macaulay poświęcił mu świetny szkic, sięgający jednak tylko końca wojny siedmioletniej (bo tyle obejmowało omawiane przezeń krytycznie dzieło Preussa). Thomas Carlyle rozwałkował swoje herojochwalstwo na dziesięć tomów, choć nie posiadał do duszy bohatera jedynego właściwego klucza: jego politycznej korespondencji. Amerykanin Tuttle badał źródłowo tylko 16 lat przed wojną siedmioletnią. Pan W.F. Reddaway z Cambridge dał sylwetkę całości, daleką od carlylizmu, ale i on, choć kompetentny do badania rzeczy wschodnio- i północnoeuropejskich, nad wielu przejawami polskiej polityki króla przeszedł pobeżnie.

Dziś wydawnictwa źródłowe do tej epoki są już o tyle kompletne, a poszukiwania archiwalne zwłaszcza przed wojną światową wydobyły na wierzch tyle istotnych informacji, że nauka polska może pokusić się o realizację swego „prawa”. Jak się z tego zadania wywiązała, czytelnik osądzi. Śmiemy bądź co bądź wyrazić nadzieję, że jeżeli rzeczywiście dla germanizmu najważniejszą rzeczą,

ważniejszą niż wyławianie takich potęg duchowych jak Goethe lub Kant, było zdobywanie nowej ziemi dla niemieckiego ludu, to chyba niemieccy dziejopisowie przyjmą ten wizerunek wielkiego niszczyciela polskości – bez oburzenia.

ROZDZIAŁ I

Złowrogie kontrasty. Polska najspokojniejszą sąsiadką Prus. Dzieło Fryderyka Wilhelma I. Królewicz–marzyciel. Dezerter na pokucie. Tradycja Hohenzollernów górą. Pierwsze zetknięcie z Sasami i Polakami i pierwsze fantazje polityczne. Ożenek królewicza. Hohenzollernowie wobec wojny o tron polski. Fryc wśród Sarmatów w Królewcu. Jego horyzonty polityczne w Rheinsbergu. *Antimachiavel, ou Examen du Machiavel*. Co zrobiła z Fryderyka masoneria? Stan porachunków polsko-pruskich. Malkontenci do usług. Ostatni gest króla–kaprala: pogrom klasztoru w Paradyżu.

Na przestrzeni setek kilometrów, nieprzedzielone żadnym pasmem gór ani żadnymi rzekami, graniczyły ze sobą przez paręset lat dwa twory państwowe o najsprzeczniejszych ustrojach i charakterach – Polska i Prusy. Z jednej strony społeczność, która nie była narodem, bo sztucznie oddarta od całości plemiennej, gwałtem wprzęgnięta w fiskalno-biurokratyczne jarzmo dynastii. Z drugiej społeczność, która także nie była w znaczeniu nowoczesnym narodem, bo tylko górna jej warstwa miała pełnię praw obywatelskich i siebie jedynie uważała za naród. Tu potęgująca się aż do samowoli wolność, tam karność dochodząca aż do niewoli. Tu życie beztroskie według dewizy: „jak kto chce”, „jakoś to będzie”; tam rozkaz, reglamentacja, tresa. Tu katolicyzm, tam luteranizm z kalwińską dynastią u szczytu. Tu decentralizacja, rządy sejmikowe, tam centralizm i biurokracja. Tu lichy handel przeważnie w rękach obcych, tam początki przemysłu i umiejętna polityka merkantylna. Tu podatki i cła, obliczone na minimum obrony krajowej; tam śruba przycięsnieta mocno, z ta-

kim wynikiem, że dwumilionowe państwo Hohenzollernów miało w 1740 r. około 7 milionów talarów dochodu.

W Polsce na królewskich tuczyła się prywatnie, w Prusach domeny żywiły wojsko. Toteż 11-milionowa Polska–Litwa spadła w latach 1660–1717 z 60 tysięcy żołnierzy na kilkanaście tysięcy, Brandenburgia i Prusy w latach 1648–1717 od kilku tysięcy doszły do kilkudziesięciu. Najrdzenniejsze podobieństwo polegało na istnieniu tu i tam panującej warstwy ziemiańskiej i na wyzysku chłopów, przeciętnie biorąc cięższym w Polsce niż w państwie Hohenzollernów. Ta wspólność do czasu zbliżała dwa niepodobne kraje: tylko o swych folwarcznych interesach mogli ze zrozumieniem wzajemnym rozmawiać niemiecki junkier z polskim szlachcicem, od kiedy pierwszy dał sobie wybić z głowy inny temat, Polaków wciąż interesujący – wolności polityczne.

Wykończenie tego systemu rządów przeprowadził jako swoją dziejową misję człowiek osobliwy, na przemian to szanowny, to odrażający, straszny i śmieszny, zbrojny tchórz wszechwładny u siebie a niedołężny na arenie międzynarodowej. Fryderyk Wilhelm I przeniósł do komnat królewskich instynkty i kwalifikacje nieokrzesanego szlachy z głębokiej prowincji. Tomy pisano o jego sknerstwie dla rodziny i hojności na kupno wielkoludów, o pracowitości, pedantyzmie i ciasnocie pojęć, o braku upodobania do nauk i sztuk pięknych, o tabagii i błaznach, o brutalnym traktowaniu dzieci i o niezaradności w obchodzeniu się z „huncfotami–ministrami”, co go „zdradzali” za obce srebrniki. Najistotniejszy dorobek jego życia streszcza się w następujących kilku faktach.

Ustabilizował „die Souverainität wie ein rocher von bronze” i usunął z głów junkierskich resztki ich stanowego „nieposwalliam”. Napelnił skarb i koszary, doprowadzając wojsko do osiemdziesięciu kilku tysięcy; więcej nawet, zamienił całe Królestwo Pruskie w jedno wielkie koszary. Zapewnił swemu wojsku stały i darmowy sposób kompletowania z „kantonów”, tj. z okręgów ziemskich, z których każdy musiał na termin dostarczyć kontyngentu rekruta. Całą gospodarkę państwową nastawił w kierunku pogotowia wojennego, zmuszając fiskalistów i militarystów, dotąd często niezgodnych, do kolegalnej pracy w *Ober-General-Krieges- und Domänen-Direction*. Dodajmy do tego (poza przyłączeniem Szczecina) pewną zdobycz w zakresie polityki zagranicznej, nie bez wartości na przyszłość:

orientację rosyjską, która za życia Piotra Wielkiego przybrała nawet postać serdecznego uwielbienia dla cara–tytana. Prawda, Hohenzollern żywił także w głębi duszy patriotyczne przywiązanie do Cesarstwa Niemieckiego, które się równoważyło z zazdrośną niechęcią do Habsburgów. W wyniku sprzecznych tych uczuć nigdy nie wyprowadził swych wojsk przeciwko Karolowi VI i nie pokuślił się nawet o wyzyskanie ciężkich dla Habsburgów momentów. Powiększył też swe państwo jedynie o Szczecin i część Pomorza Przedniego, które tanio, a niezbyt honorowo wydał powalonemu szwedzkiemu bohaterowi, Karolowi XII.

Na tej glebie mocno wynawożonej i głęboko zoranej wyrastał kwiat niemniej osobliwy, jak się zdawało, wprost egzotyczny. Następca tronu Fryderyk, urodzony 24 stycznia 1712 r., otrzymał wykształcenie staranne, ale w duchu kompromisowym między wymaganiem ojca a upodobaniami sfrancuziałej epoki. Guwernantka i metr mieli mu dać polor; generałowie, zwłaszcza Leopold von Anhalt-Dessau, dzielność i męstwo. Instrukcje wychowawcze ojciec przerobił z przejętego od dziada wzoru, podług którego sam był wychowany: kładły one nacisk na edukację religijną w duchu pośrednim między kalwinizmem a luteranizmem oraz na *studium historicum*, byle bez historii starożytnej: wystarczy znajomość polityki i wojen z ostatnich lat 150. Najsurowiej potępiona była łacina, zlekceważona literatura piękna.

Aliści ze wszystkich regulaminów, jakie król kaprał wydał dla podwładnych, najgorzej został wykonany regulamin pedagogiczny. Ze swych nie całkiem przepisowych lekcji Fryc wyniósł szpetną, koszarową niemczyznę, ułamki potwornej łaciny bez porównania gorsze niż polsko-jezuicka, i płynną francuszczyznę, którą sobie z trudem wydoskonalił. Czytając dzieła filozoficzne, wyrobił sobie giętką dialektykę i przyswoił zapas filozoficznych terminów. Starczyło mu mądrości na to, aby podważyć wszelkie dogmaty religijno-moralne, za mało jej było do zbudowania własnego, systematycznego poglądu na byt. Ojciec z bólem wyczuwał w nim coś obcego, coś, z czego dom Hohenzollernów nie będzie miał pociechy. „Fritz, halte dich an das Reelle” nalegał i jako realne wartości zachwalał pracę dla państwa, szczególnie na polu wojskowości i produkcji materialnej.

Fryc puszczał te nauki mimo uszu; ojciec wpadał w gniew, nie raz nawet w furję, której skutków doznawali wówczas matka, Zofia

Charlotte Welf, tudzież całe rodzeństwo, gdzie ton nadawali (ton nienawiści do ojca) następcę tronu i starsza odeń o lat cztery siostra Wilhelmina. Mało już brakowało, by około Fryderyka zawiązała się koteria dworska, może nawet partia opozycyjna, w karygodnych konszachtach z zagranicą. Wisiał w powietrzu krwawy dramat, podobny do tego, jaki w domu Romanowów przeżył Piotr z Aleksym. Wyładowało się wszystko w słynnej próbie ucieczki królewicza do Anglii. Schwytyany, o mało nie uśmiercony własnoręcznie przez ojca, skazany przezeń, lecz ulaskawiony na interwencję habsburskiego dyplomaty, Fryderyk musiał patrzeć na każdą swego przyjaciela–spiskowca Kattego, i to przeżycie zadecydowało o całej jego przyszłości. Kazano mu w ponurej twierdzy kostrzyńskiej ślęczeć z dala od literatury nad rachunkami miejscowej kamery. Kuracja okazała się skuteczna. Młodzieniec nabrał gustu do ekonomiki dóbr państwowych i co ważniejsza, uznał, że istnieje nad jego indywidualnością wyższy porządek rzeczy – nie ten wymarzony przez filozofów i moralistów, ale bezlitosny, na sile fizycznej oparty porządek pruski. Od rachunków przekomenderował go ojciec do musztry, na *Exercirplatz* w Ruppinie, i tutaj znowu trąbki i werble zbudziły w jego duszy nutę wojskową, choć jeszcze nie wojenną.

Harmonia między ojcem a synem ustalała się kosztem tych wszystkich pięknych idei, które można było pieścić w poezji, w metafizyce, ale które roztrącał *genius loci* Berlina. Coraz mocniej wmyślał się „Federic” w swoją przyszłą rolę gospodarza Prus i coraz żywiej interesował się także ich polityką zagraniczną. I wtedy to, gdy patrzył na dziwaczne, poszarpane kształty posiadłości Hohenzollernów, dotykające Renu, Elby, Odry i w jednym jedynym punkcie Wisły, a dalej Pregoły i Niemna, musiał w wyobraźni budować mosty między przeszłością a przyszłością Prus, zwłaszcza w stosunku do przylegającego wschodu.

Epokę Wielkiego Fryderyka łączy z czasami mistrza, a potem księcia Albrechta dwojakie pasmo tradycji. Król polski, przyjmując pod swą tarczę zbuntowanego przeciw Kościołowi mistrza Krzyżaków, osłonił go zarazem przed represją świeckiej władzy cesarskiej. Tenże atoli król polski oraz jego następcy zaopiekowali się wolnością stanów pruskich, tj. szlachty i mieszczan, wobec grożących im absolutystycznych zakusów książąt. W obu wypadkach polityka zgadzała się z obustronnym ideałem moralnym.

Zygmuntowie dążyli do uniezależnienia Prus od Rzeszy, aby tedy ramię niemieckie nie odcinało Polski i Litwy od Morza Bałtyckiego, przeciwdziałali też zbyt niemu wzmocnieniu u ujścia Wisły i Niemna ramienia pruskiego. Chroniąc atoli książąt przed egzekucją Rzeszy, a stany przed despotyzmem książąt, używali jednym i drugim tego, co i oni, i tamci uważali za najcenniejsze – swobody. O tym, że kiedyś powstanie wartość wyższa nad wolność, mianowicie niemiecka ze swoją wolą mocy, nie wiedzano wówczas ani w Warszawie, ani w Królewcu.

Z Królewca i z Berlina stosunek ten wyglądał wszakże inaczej. Tradycje krzyżackie zrosły się z brandenburskimi i wytworzyły dwutorową tendencję zaborczą. Jedno parcie, krzyżackie, szło wzdłuż brzegów Bałtyku na Prusy Królewskie, Warmię, Żmudź, Kurlandię; drugie, brandenburskie, na Wielkopolskę i Śląsk. Przeważało tamto pierwsze, nadmorskie. Dwaj poprzednicy Fryderyka II zostawili w źródłach ślady apetytu na Elbląg, Warmię, Gdańsk, Pomorze, Żmudź, część Mazowsza, Kurlandię: przez sto lat z górą nie mówiło się i nie pisało o widokach na Poznań.

Dla dopięcia celów zaborczych Hohenzollernowie wcześniej wyrobili sobie stosunki wśród polskiej i litewskiej magnaterii. Jeżeli Albrecht I przyjaźnił się i korespondował z panami polskimi, to wolno w tym widzieć po prostu szukanie poparcia na dworze Jagiellonów; także korespondencje jego następców z linii elektor-skiej zmierzały do emancypacji księstwa, a emancypację przez parokrotne przeniewierstwo osiągnął Wielki Elektor, który przystąpił już do protegowania polskiej złotej wolności – w tym samym czasie, kiedy Polska wypuszczała z rąk opiekę nad wolnością pruską. Na pozór płacił tu Hohenzollern pięknym za nadobne: tylko że on częstował Polaków nie tym, co uważał za zdrowe i wartościowe, lecz trucizną, którą u siebie niszczył rozpalonym żelazem.

Fryderyk Wielki, jak to dawno zauważono, połączyć miał w swojej osobie charakterystyczne zadatki przodków. Po Wielkim Elektorze wziął talent polityczny i wojenny; po dziadku, Fryderyku I, ambicję i pociąg do zewnętrznej francuskiej kultury; po ojcu pracowitość, oszczędność, realizm i brutalność. Od siebie dodał rzecz, której żaden z tamtych w takim stopniu nie posiadał: nadludzką nienawiść do polszczyzny. Na to nikt u nas nie był przygotowany. Gromadzące się w duszach pokrzyżackich uczucia długo pozosta-

wały bez wzajemności. Szlachta polska w XVII w. dużo się napomstowała na Rakuszan i na Francję, na bisurmanów i na Szwecję, oczywiście i na Moskwę. Najmniej złego pisano i mówiono o monarchii Hohenzollernów. Dopiero widok Brandenburczyków pod Warszawą w r. 1656 i porwanie Kalksteina pod bokiem rezydencji królewskiej w 1670 r. wraziły się głębiej w pamięć Sarmatów. Później notowano z niepokojem zamach na Elbląg (1698), z oburzeniem pruskie oblawy na rekrutów. Ale to wszystko było blade w porównaniu z potężniejącym napięciem uczuć antyrosyjskich, chwilami też przeciwśaskich i przeciwaustraciackich.

W styczniu r. 1728 król pruski przybył na karnawał do Dreżna; pierwotnie zamierzał on zostawić Fryca w domu, ale ów przez Wilhelminę wystarał się o wstawienie gościa saskiego, dzięki któremu zaproszenie rozszerzono także na królewicza. Byłoby tam o czym pogwarzyć z takimi luminarzami sasko-polskiego dworu, jak Stanisław Poniatowski, Michał i August Czartoryscy, książę podkanclerzy Lipski, biskup Hozjusz, dwaj Bielińscy, podskarbi Moszyński, Antoni Sebastian Dembowski – wszyscy oni odegrają pewną rolę w stosunkach polsko-pruskich, ale to byli ludzie w sile wieku, już statyści, umiejący trzymać język za zębami, a Fryc szesnastoletni przeżywał dopiero swój pierwszy karnawał. Podziwiał pewnie gust i wspaniałość dreźnieńskich pałaców i sasko-polskich strojów, zestawiał je w myślach z opiętymi żakietami Prusaków, spod których wyglądały dobrze wykarmione pośladki. W dzień ministrowie konferowali nad ratyfikacją i praktycznym zastosowaniem traktatu przyjaźni między Saksonią a Prusami; wieczorami August przyjmował gości pijatyką w pałacu „gubernatorskim” (później „kurlandzkim”) przy tak zwanej *Confidenz-Tafel* – zakładano właśnie Bractwo Wrogów Wstrzemięźliwości (Société des antisobres). Już w nocy na 18 stycznia zdarzyło się groźne omen: pożar wybuchł w pałacu Wackerbartha i musiano zeń zmykać co żywo.

Ale gorszy pożar wznicił w żyłach młodziutkiego „philosophe’a” rozwiązał król Wettyńczyk, gdy nagle odsłonił i ojcu i synowi wszystkie wdzięki jakiejś kurtyzany. „Fryc, uciekaj”, krzyknął zgorszony papa. I stało się wedle jego rozkazu. Ale odtąd kronprinz popadł na długo w dziwną chorobę: mizerniał, więdnął, melancholizował po powrocie do Berlina, o których to przejściach dochowała się dwójka tradycja. Raz słysząc, że Fryderyk już w Dreźnie poznał pięk-

na córkę Augusta, Annę Orzelską, i usychał potem z tęsknoty do niej; kiedy indziej, że uwodzicielka nazywała się Formera i że ona wtedy właśnie na życzenie Augusta sprowadziła go z drogi cnoty, Orzelską zaś zaproszono do Berlina w maju, znów w towarzystwie jej ojca, aby klin klinem wybijać. Na następnym zjeździe monarchów, na manewrach (kampament) pod Mühlbergiem w czerwcu r. 1730 kronprinz nie figuruje. Nic dziwnego. W tym właśnie czasie Orzelska wychodzi za mąż za księcia von Holstein-Beck, a jej wielbiciel sposobi się do karkołomnej eskapady. To pewna, że pierwszy paroksyzm zmysłowości nie podzielał kojąco na nerwy królewicza-malkontenta: przeciwnie, właśnie po tych wizytach i rewizytach nastąpiło pod dachem Hohenzollernów owo piekło, które znalazło wyraz w dezercji, procesie i uwięzieniu. W późniejszym wieku Fryderyk był, jak wiadomo, marnym kochankiem i złym mężem. Nie byłby jednak „philosophem”, gdyby z karnawału drezdeńskiego nie wysnuł pewnej ogólniejszej teorii, którą z czasem ogłosi *urbi et orbi*: że galanteria w jakimkolwiek gatunku nie zraża poddanych i nie szkodzi popularności monarchów.

Są zresztą powody do mniemania, że jeszcze inne iskry zapadły wtedy w duszę królewicza: iskry namietności politycznej. W latach 1728–1730 między Dreznem a Berlinem snuły się już rozmowy polityczne treści nader interesującej. Planowano jakąś asocjację generalną niemieckich stanów przeciw Habsburgom, której jednak Hohenzollern nie chciał ani pod saskim, ani pod anglo-hanowerskim przewodnictwem. To znów Wettyńczyk wabił Hohenzollerna do swego „grand dessein”, co to miał polegać na zaprowadzeniu absolutyzmu w reszcie Polski po zaspokojeniu jej sąsiadów, a przede wszystkim Prus, kawałkami państwa. Duże prawdopodobieństwo przemawia za tym, że August potrącał te tematy przy stole konfidenalnym w Dreźnie, jako Patron Society, lub w Berlinie, gdzie go podejmował Kompatron. Czy już wtedy doszły te konkretne rozmowy do uszu królewicza? Rzecz wątpliwa: kto ma przed sobą zamachy, wojny, zdobycze, nie ucieka do Anglii. Kronprinz zanadto miał skołataną głowę i zdarte nerwy brutalstwami ojca, by z nim można było konferować o racji stanu, nie budził też zaufania ze względu na swe konszachty z cudzoziemcami. Jeżeli coś słyszał o „grand dessein”, to ukrył słyszane rzeczy *in petto* i nawiązał do nich dopiero po wytrzeźwieniu – w Kostrzynie. Stamtąd to wystosował list czy

memorialik do przyjaciela, niejakiego Natzmera, zatytułowany *De la politique actuelle de la Prusse*. Na wesoło, z głupia frant, choć zdaniem pruskich historyków genialnie, szkicuje on tam dla swego przyszłego państwa takie perspektywy rozrostu: wcielić resztę ziem pokrzyżackich, tj. Prusy Polskie, resztę szwedzkiego Pomorza, jako pomost do Meklemburgii, której władcy prędzej czy później wymrą, i na zachodzie księstwa Jülich i Berg, bo bez tego Kliwia i Mark czują się samotne, bezbronne i biedne.

Pismo do Natzmera nie jest jedyną próbą ówczesnych zainteresowań politycznych Fryderyka, który pilnie studiował wtedy „handel śląski”. Zakomunikowane w kopii księciu Eugeniuszowi Sabaudzkiemu, dało mu ono dużo do myślenia. Austriacki mąż stanu wymyślił tedy jedno: że trzeba tak ambitnego następcę tronu przykuć do Wiednia przez małżeństwo, a zarazem przez przekupstwo. Jedno i drugie ujął w swe ręce niezastąpiony spryciarz, poseł Seckendorf, a pomógł mu nieoceniony pośrednik, minister Grumbkow. Przez dwa lata, póki August Mocny rwał się w objęcia Fryderyka Wilhelma, a oba dwory cesarskie zarzucały sieci na Berlin, aby go spętać na przyszłe polskie bezkrólewie, cesarsko-apostolska racja stanu kleciła wstrętne małżeństwo Fryca z księżniczką Elżbietą Krystyną v. Braunschweig-Bevern, siostrzenicą cesarzowej Karolowej. Kronprinz odgrażał się dziesiątki razy, że narzuconą „głupią”, nieciekawą, nieładną żonę zaraz po ślubie wypędzi, że chce żyć z dziewczkami aż do czterdziestego roku, a potem dopiero weźmie rozkwitającą piętnastoletnią piękność. Wszyscy z wyjątkiem nieszczęsnej ofiary widzieli, że to będzie zgrzyt jeszcze gorszy niż między starym królem a Welfówną. Ale Austria płaciła, Prusacy z kronprinzem na czele brali. Fryderyk Wilhelm wziął się także w tej aferze sercowej przełamać wolę syna – i syn z nieludzką pokorą, z przekreśleniem całej swej godności osobistej spełnił rozkaz. Po czym dotrzymał i obietnicy: żonę odepchnął, internował w stolicy – i pogrążył w nicości.

Tymczasem cała polityka europejska stanęła pod znakiem polskiej sukcesji. Dwory cesarskie, przygotowując się do narzucenia Polsce dogodnego króla i do podkopania w niej wpływów saskich oraz francuskich, otwierały Fryderykowi Wilhelmowi widoki na Kurlandię (którą zresztą Rosja stanowczo rezerwowała dla siebie).

Fryderyk junior, jak wiemy, umieszczał swe perspektywy ekspansyjne też nad Bałtykiem, ale bliżej Berlina. Kiedy Rosja, zmu-

szona do forsowania kandydatury Fryderyka Augusta II Sasa, usiłowała do tegoż skłonić króla pruskiego i chwilami już mu za to obiecywała Elbląg, Warmię i nawet pas ziemi od Pomeranii do Prus Wschodnich, nie widać zgoła, by żyjący jeszcze w nielasce król-wicz miał jakiś wgląd w te sprawy. Słyszał pewno jeszcze od ojca, że saski pretendent to „Mantelsack”, „dummer Teufel”, słyszał jego toasty: „Vivat Stanislaus hoch, pereat Augustus tief” – ale słyszał pewno i o tym, że dom Hohenzollernów powinien by coś na tym bezkrólewiu zarobić, niestety nie ma on jednak do Prus Polskich żadnych praw.

Bezkrólewie miało wśród odgłosów bombardowania Gdańska przez Rosjan. Jeszcze potem przez rok stawiali opór uzurpatorowi konfederacji dzikowscy, którzy na wiarę Francji próbowali obstawać przy legalnym królu Leszczyńskim i bronili niepodległości na przykład Sasom, Moskwie i Austriakom. Na ziemi pruskiej bawił ledwo wybrany, już wypędzony „Stanisław I i II”, najpierw w Kwidzynie, Królewcu, potem chwilowo w Berlinie i znów do początków r. 1736 w Królewcu. Prześladowany przez wrogów, opuszczony przez poddanych, nawet przez potężnego zięcia, Ludwika XV, Stanisław z rozczuleniem śledził życzliwe uśmiechy na twarzach pruskich dygnitarzy i samego, nie zawsze tak słodkiego w obejściu, króla. Ten dziedzic Leszna, choć nie umiał, zdaje się, po niemiecku, z kolonistami niemieckimi nauczył się swego czasu porozumiewać niezgorzej; z jego przodków upamiętnił się Rafał, wódz dysyden-tów za Zygmunta III, zażyłym kontaktem z Berlinem, a kanclerz Jan za Sobieskiego po prostu wysługiwał się Berlinowi. Tradycyjna sympatia odezwała się we wnukach: Fryderyk Wilhelm umieścił wygnańca we własnym pałacu, wyznaczył mu pensję, posadził go w Tabakskollegium jako znakomitego palacza. I wtedy to zapewne przyszły filozof z Sans-Souci poznał przyszłego „dobroczynnego filozofa” z Lunéville – i podobno przypadli sobie do gustu.

Wpadła w oko kronprinzowi także jakaś Polka z grona emigrantów dzikowskich, gdy ów odwiedził Stanisława w Królewcu (od 9 października 1735 r.). Ale Polacy i ich sprawa? Siedziało ich tam na obczyźnie do półtora tysiąca. Byli senatorowie, marszałkowie i konsyliarze, ich klienci i służba, wszyscy zbiedzeni, zadłużeni, ale przekonani o słuszności swej sprawy. Fryderyk, nawiasem mówiąc, wówczas wściekły na swego ojca, że go nie puszcza na teatr woj-

ny nad Ren i każe objeżdżać Prusy Wschodnie, patrząc w polskie twarze, doznawał sprzecznych uczuć. Leszczyński wydawał mu się wzorem wielkoduszności w porównaniu z Augustem III, co zdobył tron oszustwem i obcą przemocą. O uchodźcach wspominał jeszcze w r. 1752: „Byłem świadkiem tego, co może cnota nad ludzkim sercem, i widziałem owo serce Polaków, których w Królewcu skupiała nie siła, nie nadzieja, lecz miłość ku najlepszemu z królów i najszlachetniejszemu z obywateli tej Rzplitej.”

Oni pisali o gościu do Paryża:

My tu rozerwani prezencją królewicza jmci pruskiego, i cale go ukochał nasz naród z jego ludzkości, obligujących manier i przywiązanego serca do interesów naszych, że ledwo nie na rękach go nosimy. I on sam wydziwować się nie może, że potencia francuska dotychczas tak godnego, wielkiego i od wieków upragnionego monarchę trzyma tu bez żadnej mocy i siły dla poratowania ojczyzny upadającej. Będzie to *successive* Pan godny i zacny i *dotatus veris dotibus magni principis*.

Tak – ale kiedy ci sami wielbiciiele z królem na czele spróbowali go uhonorować reprezentacyjnym wystąpieniem, on opisał w liście do ministra Grumbkowa, jak to spotkał kilkuset Polaków jadących pysznie konno na rasowych rumakach: „Były to największe brudasy na świecie; karocę króla Stanisława otaczał tuzin pojazdów, w których siedzieli polscy panowie i panie, podłe małpy, pospolite małpki”. Sztydził z marszałka konfederacji Adama Tarły, co przybył „me faire un salamalec”. Już to w ogóle Polacy, bawiący w Królewcu, to z małymi wyjątkami ludzie „crasseux et salopes à faire peur”. Tak skrupił się na Polakach zły humor królewicza, którego próbkę bardzo charakterystyczną warto tu zacytować w oryginale:

Ich mach ihre briwe nicht mehr lesen – pisał do Leopolda von Anhalt-Dessau z Bartensteinu 9 września 1735 – und ergere mirh ich mögte die gelbe sucht krigen von ich einen lesse, meine ganzte Reisez wirdt wohl keinen anderen nutzen haben als den Patssificationstach in Warschau zu brechen. Die Schurkens (chyba Polacy) denken das weilten ich den Saksichen Bir Esel (Augustowi III) nicht guht bin und die Regimenten hier besehe so würde ich sie zu halse gehen et de peur la Diete est comme rompue.

Że jednak ci kontuszowcy wierzyli w pruską przyjaźń i gotowi byli za czynną pomoc ofiarować coś w rodzaju Elbląga lub Kurlandii, więc junior tłumił na swej twarzy grymas i krył go w uśmiechu.

Ostatnie pięciolecie ojcowsko-kaprałskich rządów Fryderyka Wilhelma upływało dla następcy tronu bez zgrzytów i grzmotów. Jego pałacyk w Rheinsbergu stał się siedliskiem muz. Skoro królewicz odrabia swoje pensum w zakresie administracji, gospodarki, wojskowości, to król machnął ręką na to, że ów zaprasza do siebie literatów i artystów, koresponduje z przyjaciółmi, pochłania książki i gra na flecie. Nastąpiły lata intensywnej korespondencji z Wolterem, który jak korepetytor poprawiał francuszczyznę młodego Hohenzollerna, polerował jego wiersz i musztrował go na poetę. Ale zarazem były to lata solidnego dojrzewania przyszłego władcy Prus. Wtedy ukształtował się jego charakter i ułożyły się poglądy. Mało kto jeszcze przenikał podstawową cechę jego charakteru: dwulicowość. Zrodziła się ona pod ojcowską pięścią w latach pamiętnego kryzysu: nauczyciwszy się płaszczyć, uśmieszać i wdzięczyć dla ratowania własnej skóry, młodzieniec uczynił sobie z dysymulacji na całe życie drugą naturę, nawet na te lata, kiedy wszyscy będą przed nim drżeli. Na literaturę, sztukę, stroje i smakołyki potrzeba było znacznie więcej pieniędzy, niż ich przeznaczał stary harpagon. Więc Fryc pod pozorem kompletowania biblioteki zgarniał dukaty, liwry i talary od Austriaka Seckendorfa, od saskiego posła Suhma, od faworyta carowej Anny Birona, kwitując niekiedy (Seckendorfowi) z odbioru „des livres charmants”. Czy można było subtelniej praktykować dwulicowość, jak biorąc łapówki od dworów, którym się z czasem odpłaci krwawą łaźnią?

Wypracował sobie na moment objęcia rządów światopogląd polityczny obejmujący niemal wszystkie państwa i panujących. Wynikało z tych rozglądów, że są wprawdzie państwa szanowne, bogate, zasobne, jak Anglia, Francja, Austria, ale ich władcy nie stoją na wysokości zadania, zwłaszcza w porównaniu z nim, Fryderykiem, który i reprezentuje zdrową potęgę przyszłości, i osobiście góruje nad skarłałym otoczeniem dynastów. Z odrazą i pogardą wyraża się Fryderyk o Rosji, co narzuciła Polsce króla, Turkom warunki pokoju, całej Północy dyktuje swą wolę, pcha się do Europy, i każe sobie schlebiać, bo ma duże zadatki materialne na przyszłość. Kraj

to zresztą obscurny, możnowładcy w nim rozintrygowani, lud tępy i gruby, szelmstwo, rozpusta, pijaństwo, bez siły twórczej, choć nie bez zdolności naśladowczych. Wojować z tą dziczą – nie warto. Polska obezwładniona przez *liberum veto*, dwór daremnie próbuje kierować sejmami, lejąc w tę beczkę Danaid starostwa i dobrodziejstwa. Chłopi w niewoli, szlachta nieokiełznana, ani przemysłu, ani rękodzieła; domami magnackimi rządzą Żydzi. Wojska 12 000, popolite ruszenie jest fikcją. Nic z tego nie będzie. A Niemcy? U góry prywata i pretensjonalne fupy książąt; niektórzy z nich kupczą krwią swych poddanych, sprzedają się na prawo i lewo; poniżej drobiazg małpujący Ludwika XIV, jeszcze niżej uczone pedanty tak obławowane erudycją, że nic ze swej wiedzy nie umieją wywnioskować; ci uczą szlacheckich synków niemieckiego prawa, łaciny, greki i hebrajszczyzny. Ustrój potworny, z sejmem niezdolnym do uchwał, pod troskliwą opieką Anglii, Francji i Holandii (ani słowa nagany dla „liberté germanique”, bo to by było po myśli Habsburgów). Język niemiecki zepsuty przez Hunów i G o t ó w, rozbity na dialekty, tak iż jeden Niemiec drugiego ledwie rozumie. Jeżeli Włochy można porównać z zapuszczonym ogrodem, który łatwo odnowić, to Niemcy stanowią zaniedbany nieużytek, z którego chyba bardzo umiętny ogrodnik potrafiłby zrobić ogród.

Z powyższych sądów należałoby wnosić, że umiętny ogrodnik nie wybierał się jeszcze wówczas z motyką... na Pomorze. Jeżeli Polska nie straciła żadnej prowincji w ubiegłym bezkrólewiu pod najazdem i wśród wojny domowej, to widocznie jeszcze na nią czas nie przyszedł. Istotnie, obaj Fryderykowie mają w latach 1735–1740 oczy utkwione w Nadrenię. Nim zaczną zszywać swe centralne i wschodnie „lizjery”, chcą się utwierdzić w zachodnich Niemczech, jakby przeczuwali, że ich zadania „ogrodnicze” w Rzeszy rozciągają się będą od Renu po Niemen. W r. 1738 aż cztery mocarstwa: Francja, Austria, Anglia i Holandia jednobrzmiącymi notami sprzeciwiły się okupacji księstwa Berg przez wojska pruskie, i Fryderyk Wilhelm przeknął to poniżenie w cichości. Chwalebna troska starych potęg o dynastyczne prawa sulzbachskiej linii Wittelsbachów miała jednak dla europejskiego porządku skutki niepożądane: im trudniej będzie Hohenzollernom zaspokajać swe ambicje kosztem tuzinkowych niemieckich książątek, tym bardziej ich energia zdołaby rzucić się na kraje obcoplemienne, na Śląsk i Pomorze; za-

miast jednoczyć Niemców, Prusacy zajmą się wynaradawianiem Słowian.

Czy tylko w ogóle można Fryderykowi II jeszcze przed wstąpieniem na tron przypisywać dążności zaborcze? Toż właśnie wówczas wykończył on i oddawał do druku swój *Antimachiavel, ou Examen du Prince de Machiavel*, a wykończył go pod kontrolą stylistyczną Woltera, który około tegoż czasu w *Kandydzie* groteskowo ośmieszył i zohydził barbarzyńskie wojny „Bułgarów i Awarów”. Czego tam nie ma w tym *Antimachiavelu*! Ile gromów spadło na starożytnych tyranów Agatoklesów i nowożytnych Borgiów za ich zbrodnicze ambicje i czyny, ile ciosów dostał mistrz florencki, co śmiało zalecać politykę wyzuta z moralności! Jest i pochwała angielskiego parlamentaryzmu, jest, prawda, i dające do myślenia usprawiedliwienie wojen dla interesu, oraz wojen z ostrożności, które się prowadzi dla zatrzymania niebezpiecznego wylewu innych potęg. Ale tym mężom stanu, którzy rządzą światem, podyktowany jest szczytny obowiązek. Oni mają wyleczyć ogół z fałszywego wyobrażenia, jakie ma o polityce: to ma być nadal system mądrości, a nie brewarz oszukaństwa:

Do nich należy usunięcie z układów przebiegłości i wiarołomstwa... Do nich należy wykazanie, że są tak mało chciwi na kraje swych sąsiadów, jak zazdrośni o zachowanie własnego państwa. Księżę, który pragnie wszystko posiadać, jest jak ów żołądek, który przeładowuje się mięsiwem, choć go strawić nie zdoła. Natomiast księżę, który ogranicza się do tego, by dobrze rządzić, jest jak człowiek, który jada wstrzemięźliwie i którego żołądek trawi dobrze.

Uczeni dotąd nie bardzo sobie dają radę z tym *Antimachiavelem*. Fryderyk Meinecke widzi w nim ogniwo rozwojowe między „Weltbürgertum” a państwowością narodową: młody autor łąmie się tu ze sobą między idealizmem a realizmem politycznym. Askenazy interpretuje zamiary Fryderyka całkiem inaczej:

Sprawi piorunującą niespodziankę w Europie. Prostackom w guście księdza Saint Pierre, apostoła wiecznego pokoju, zada nie lada jaką «Zagadkę polityczną». Będą o nim pisali w gazetach paryskich i londyńskich. On,

początkujący młodzik, da naukę polityki staremu Fleuremu, zadziwi parlament angielski, wprawi w osłupienie ekscelencje wiedeńskie. Cóż na to powie pan de Voltaire? Wydać *Antimachiavella* na początku panowania to koncept niegorszy, ale wydać go w przeddzień zaboru Śląska, tak dobrego dowcipu nie masz w całej *Pucelle*.

Na pozór polski historyk ma tu rację. Sprawa nie da jednak się załatwić przez proste wytknięcie paradoksu. Na kilka lat przed wydaniem książki Fryderyk przy boku ojca jeździł do twierdzy Wesel i tam się zetknął przy stole z jakimś hrabią Albrechtem Wolfgangiem von Schaumburg-Lippe; ów mówił, że wie o istnieniu towarzystwa, które się poświęca uszczęśliwieniu ludzkości. Król pruski od razu zganił takie bałamuctwa, ale królewicz wyraził chęć bliższego poznania towarzystwa. Stało mu się zadość, ale dopiero w sierpniu 1738 r. w Brunszwiku został przyjęty do loży masonskiej, a przyjmował go i witał górnolotną oracją jeszcze młodszy od niego Bielfeld, który wnet otrzyma zaproszenie do Berlina, wejdzie do akademii, zasłynie jako znawca urządzeń politycznych i póty będzie siedział nad Sprawą, póki będzie wierzył, że Fryderyk podziela jego idee. We wrześniu 1739 r. odwiedzili kronprinza w Rheinsbergu „czcigodny” lord Baltimore i Wenecjanin Algarotti, zapewne po to, aby się upewnić o prawomyślności nowego adepta. Włoch zostanie przy nim na stałe, w korespondencji znajdują się masonskie pozdrowienia – ale idee pofruną w inne strony. Na razie *Antimachiavel* miał właśnie uszczęśliwiać ludzkość: ta rozprawa była obliczona na poklask tajnych i jawnych kosmopolitów, ale czy jej autor w momencie inicjacji talk samo myślał, jak wówczas, gdy rozmawiał z Lippem, czy zwłaszcza zachował jeszcze coś z idealizmu po dalszych dwóch latach, kiedy oddawał do druku swój *Examen*? Wiadomo, że się zawahał, przerabiał tekst, prosił Woltera o wstrzymanie druku, to i po cóż miałby dostarczać wrogom argumentów przeciw samemu sobie? Wszystko wskazuje, że owa walka idei, o której pisze Meinecke, rozegrała się dużo wcześniej i że ogłoszenie traktatu w przeddzień zaboru Śląska było jednak świadomym czy mimowolnym kawałem.

Rzeczywistość ciągnęła go ku sobie przez wszystkie fibry, od kiedy poczuł na sobie rzeczywistą pięść ojca. Wiemy, o czym rozmawiał z francuskim posłem hr. La Chétardie w r. 1734, kiedy się zdawało,